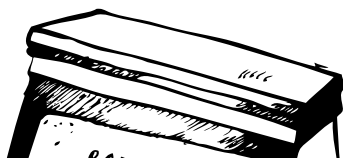


# OPOWIADANIA Z DRESZCZYKIEM



POLSCY PISARZE DZIECIOM



## **Opowiadania z dreszczykiem**

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:  
Olga Reszelska

Korekta:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie III

**ISBN 978-83-7672-253-5**

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630 23 81  
www.wyd-literatura.com.pl

Joanna Olech



## ANYŹKOWE BLIŹNIAKI



Zęby dzwoniły mu jak kastaniety. Kornel zacisnął szczęki. Zardzewiała kratka cmentarna zatrzasnęła się za nim. Obejrzał się. W zimnym świetle księżycy majaczyły trzy rozbawione twarze. Stali tam, z pięściami w kieszeniach: Patryk, chudy Zygmunt zwany Zębolem i Igor, którego jasne, dziewczynskie loki tworzyły blond aureolę wokół regularnych, anielskich rysów.

Zęból oplótł kratę łańcuchem i zapiął na nim masywną kłódkę.

– Pamiętaj... Czekamy po drugiej stronie, gnoju – warknął.

– I nie zapomnij o trumience. – W cichym głosie Igora na pozór nie było groźby, ale Kornelowi ścierpła skóra od tej „przyjacielskiej” przestrogi.

W istocie „trumienka” była zwykłym pudełkiem po butach, do którego Igor wrzucił wzdęte ciało martwego szczura znalezione w kotłowni. Za dnia Zygmunt zaniósł trumienkę do zrujnowanego grobowca w centrum cmentarza. Teraz – tuż przed północą – rozkazali Kornelowi odnaleźć ją i dostarczyć na dowód, że przeszedł cały cmentarz na wskroś. Jeśli nie znajdzie pudełka – czeka go łomot.

Opór na nic by się nie zdał, trzech egzekutorzy dobrze się bawili.

– To dla twojego dobra, dzióbku – szydził Igor.

– Załóż pampersa, zanim sfajdasz się ze strachu – dorzucił Patryk.

– Jesteś, dzióbku, miękki jak budyń. – Igor pokiwał blond głową z udawanym współczuciem. – My ci pomożemy stwardnieć.

Kornel ruszył w głąb cmentarza. Cienka, flanelowa piżama nie chroniła go od chłodu. Dygotał. Nadal nie był pewien, czy bardziej boi się ciemności przed sobą, czy trzech postaci za plecami.

\* \* \*

Pół roku wcześniej, zimą, Kornel wylądował nieoczekiwanie w nowej szkole. Przez poprzednie lata chodził do

podstawówki tuż koło domu. Klasy tam były niewielkie, nauczyciele spoko i ani jednego bandziora. Ale kiedy ojciec odszedł do pani Beaty (razem ze swoją kartą kredytową) – mama musiała zamienić mieszkanie na mniejsze.

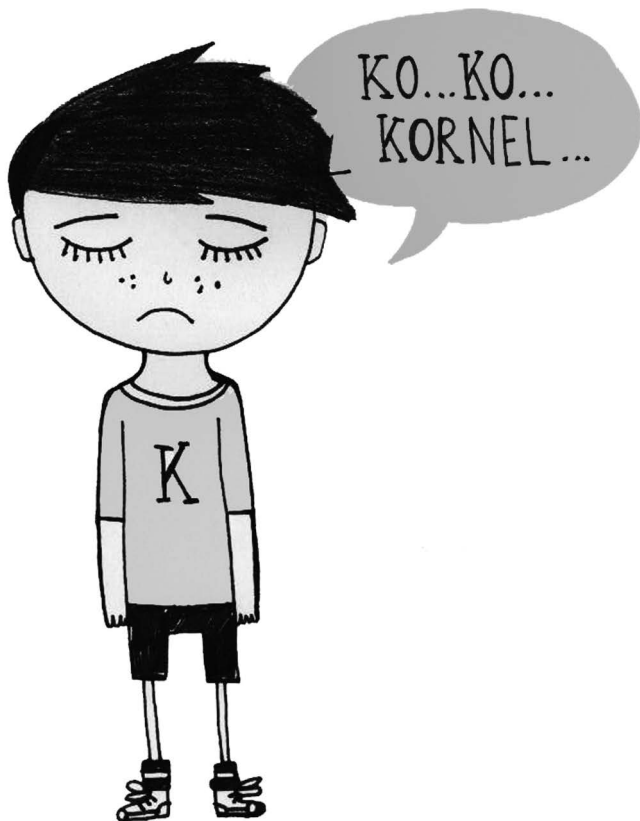
Przeprowadzili się.

Tuż po świątecznych feriach Kornel stanął przed trzydziestoosobową klasą w nowej szkole i – poproszony, żeby się przedstawił – wyjąkał:

– Ko...Ko...Kornel...

Te pierwsze pięć minut przesądziło o jego pozycji w klasie. Odtąd został Kokokornelem – ofiarą i lamusem, którego wszyscy omiatali dużym łukiem. Dotychczas jąkał się rzadko, teraz drobna wada wymowy nasiliła się gwałtownie.

Polonista, pan Probosz, znudzony i kwaśny, niecierpliwie bębnił w stół, kiedy Kornel przy tablicy dukał i zaciął się na każdym



słowie wyuczonego wiersza. W rezultacie uczeń wracał na miejsce z dwóją, przy aprobujących pomrukach klasy. Ot, kolejny „łabędź” – stopień w sam raz dla jąkały.

Szybko dano mu odczuć, że tkwi na najniższym szczeblu klasowej hierarchii – w stołówce siedział sam, jak trędowny, a kiedy wybierano składy drużyn siatkówki – zawsze pozostawał na boisku ostatni, chociaż grał w siatkę całkiem dobrze.

Wszystko to dałoby się znieść, gdyby nie koszmarne trójka – Patryk, Zygmunt i Igor. Jak rekin żarłacz wyczuwa krew na znaczną odległość, tak Igor wyczuwał słabość u potencjalnej ofiary.

Zaczęło się niewinnie – Kornelowi zaczęły ginąć zeszyty i podręczniki pozostawione w klasie. Po przerwie znajdował wieczne pióro rozgniecione na podłodze, a w szatni – swoje buty pozbawione sznurowadeł, z zapleśniałą kanapką wewnątrz. Puchową kurtkę oblano mu tuszem.

– Oj, nieładnie... – szydził Igor. – Dzióbek się upačkał. Mamusia pogniewa się na dzióbka. Nie będzie budyyyniu.

Kornel bezsilnie zaciskał pięści. Ale najgorsze było przed nim – wkrótce na kartkach wyrwanych z żółtego notesu Kornela ktoś rozesłał wulgarne karykatury dziewczyn. To skutecznie utrwaliło przylepioną mu etykietkę „świra”. Odtąd stłuczoną lampę czy zepsuty komputer w sali informatycznej klasa zgodnie przypisywała Kornelowi. A kiedy fajtłapa

i grubasek, Bolcio, raz i drugi na przerwie podszedł do nowego ucznia, wkrótce został poinstruowany przez Igora, żeby tego więcej nie próbował.

Niebawem nikt nie chciał gadać z Kornelem.

Nauczyciele nabrali przekonania, że „coś z tym nowym jest nie halo”.

Kornel szybko zrozumiał, komu zawdzięcza tę serię pechowych przypadków. Z niedowierzaniem patrzył na klasowego przystojniaka, który nigdy nie podnosił głosu, mówił cicho i pieszczotliwie. Za anielskim wyglądem Igora krył się sprytny drapieźnik. Jego dziewczęca uroda i schludny strój kujona stanowiły świetny kamuflaż. Wobec nauczycieli



ujmująco grzeczny i pilny, za ich plecami Igor trzymał całą klasę za twarz.

– Tylko się poskarż, lemingu, a zrobimy ci kurację nawilżającą – ćwierkał swoim aksamitnym głosem.

Kornel wiedział, na czym polega „kuracja nawilżająca”. Sam był mimowolnym świadkiem takiej akcji. Patryk i Zębol na polecenie Igora wetknęli głowę Bolcia do cuchnącej muszli klozetowej i kilkakroć spuścili wodę. Nikt im nie przeszkodził, a i sam Bolcio słowem nie pisał nauczycielom o tym incydencie.

Tak to, cudzymi rękami, Igor ośmieszał i upokarzał.

W pewien fatalny wtorek trójka prześladowców zaskoczyła Kornela w stołówce szkolnej.

Było już po dzwonku, jadalnia opustoszała. Kornel spóźnił się na obiad i w pośpiechu kończył posiłek. Zza małego okienka do wydawania potraw dobiegały głosy kucharek.

Drzwi otworzyły się cicho. Podeszli do niego, zmusili, by wstał. Igor jednym ruchem odciągnął pasek spodni na brzuchu Kornela i wlał mu w majtki kubek kompotu jabłkowego. Potem bez słowa zaciągnęli go pod drzwi klasy i wpełnęli do środka.

Lekcja już trwała. Nauczyciel przerwał wykład. Cała klasa gapiła się na Kornela, wychylając się z ławek. Stał pod drzwiami, purpurowy po korzonki włosów, a na udach widać było wyraźnie rozlaną plamę ściekającej wilgoci.



Polonista patrzył na niego z odrazą.

– Widzę, że zdarzyła ci się mała przygoda – powiedział. – Chyba lepiej będzie, jak zabierzesz plecak i pójdiesz wprost do domu, hmm...?

Zawstydzony Kornel chciał wyjaśnić, że to tylko kompot wylany na spodnie:

– Ko...ko...ko... – zaczął.

Klasa ryknęła śmiechem.

Nauczyciel nie uciszał nikogo. Pod nosem błąkał mu się rozbawiony uśmieszek.

I tak to trwało. Skarżyć się nie było komu – od czasu rozvodu mama z trudem dawała sobie radę z obowiązkami. Była płaczliwa i roztargniona. Zawinięta w koc całymi godzinami oglądała seriale.

Wreszcie rok szkolny dobiegł końca i Kornel odetchnął z ulgą. Jeszcze tylko obóz sportowy, a potem... może zdoła namówić rodziców, żeby przenieśli go do innej szkoły?

Nazajutrz po rozdaniu świadectw cała klasa wsiadła do autokaru, który zawiózł ich do miejscowości Gniew na Pomorzu.

Dobra nazwa – pomyślał Kornel. – Pasuje.

Tłumiony GNIEW towarzyszył mu przecież każdego dnia.

Umieszczono go w dwunastoosobowej sali, gdzie znalazł się – jakże by inaczej – z Igorem i jego kumplami. Codziennie szedł na trening, gdzie nikt nie podawał mu piłek. Nawet dziewczyny, zwykle bardziej skore do rozmowy,



ostentacyjnie odwracały się do niego plecami, jakby i one uczestniczyły w zмовie milczenia.

– Daruj sobie, sieroto – mruknęła Marzena, kiedy podał jej upuszczony plecak. – Nikt cię tu nie chce.

Koleżanki zawtórowały jej chichotem.

Kornel odsuwał się coraz bardziej od klasy. Szukał kryjówek.

Nie na wiele to się zdało.

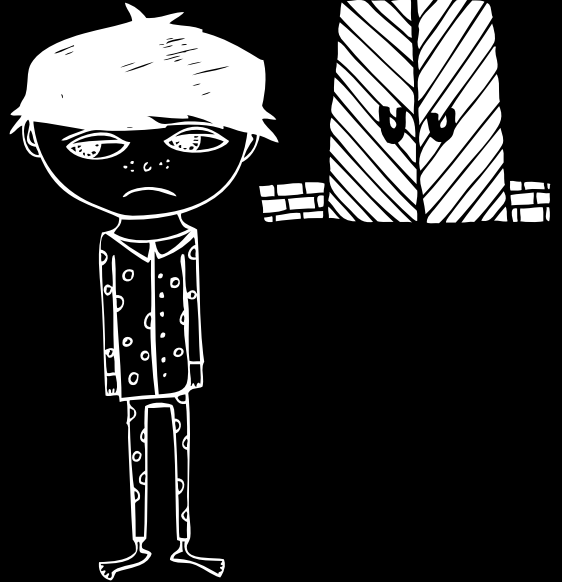
W środku nocy Patryk obudził go gwałtownym szarpaniem. Igor i Zęból stali obok.

– Co... co... co jest? – jękał, wyrwany z głębokiego snu.

– Wstawaj, gnoju. Pora się przewietrzyć.

Ledwo zdążył wsunąć stopy w kaptcie.

Idąc szpalerem między łózkami, Kornel czuł, że nikt na sali nie śpi. Wszyscy, nakryci kocami, udawali, że smacznie chrapią. Ale Kornel przysięgłby, że strzygą uszami, gratulując sobie w duchu, że to nie ICH kosztem bawi się właśnie Igor.



Kazali mu wyjść przez parterowe okno na wilgotny od rosy trawnik.

Noc była zimna i bezgwiezdna. Wiatr gwałtownymi podmuchami szarpał korony drzew. Ponaglany szturchańcami, Kornel ruszył w dół wąskiej uliczki, która dzieliła internat od cmentarza. Kilkanaście metrów dalej w murze tkwiły zardzewiałe wrota. Tu przystanęli. Patryk wepchnął Kornela za bramę, a Igor wyluszczył, na czym polega zadanie.

Beznadziejna sprawa... – pomyślał Kornel, trzęsąc się z zimna i strachu. – Mam przejść cały cmentarz do bramy po drugiej stronie? Bez latarki? A po drodze odnaleźć pudełko ze szczurem w nieznanym grobowcu. Dobrze sobie... Równie dobrze mogę od razu sam sobie urwać głowę, zanim to zrobią ci trzej popapraśni sadyści.

Na razie jednak wołał zejść z oczu Igora i jego kumpli.



Żwir pod nogami skrzypiał donośnie, kiedy Kornel oddalał się aleją – wprost w ciemności, słabo rozpraszane trupim światłem księżyca. Jeszcze przez chwilę słyszał stłumione śmiechy chłopaków za bramą. Potem zapadła cisza.

Jakiś ciemny kształt przemknął bezszelestnie nad głową, niemal ocierając się o włosy chłopca.

Nietoperz? – pomyślał, jakby sam chciał się upewnić, że nie ma się czego bać.

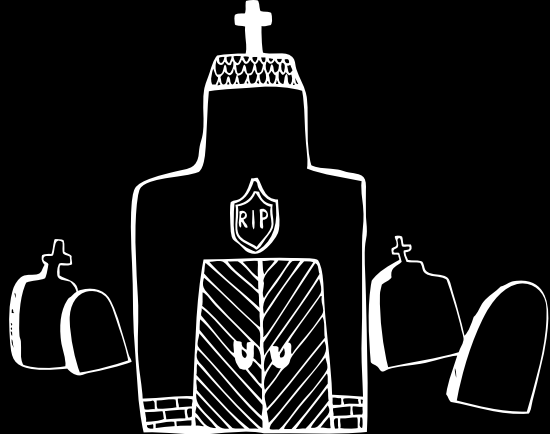
Cmentarz przypominał Kornelowi sypialnię internatu nocą – kamienne nagrobki stały w ciemności w długich, symetrycznych szeregach. Światło księżyca ślizgało się na wypolerowanych granitowych płytach. W niebieskawym blasku majaczyły zarysy pomników, a posadzone u ich wezgłowia krzewy szurały gałęziami przy każdym podmuchu wiatru.

Cisza pełna była chrobotów, ptasich krzyków i tajemniczego mlaskania. Im bardziej Kornel oddalał się od maczającej za plecami bramy cmentarnej, tym bardziej jego





zmysły wyostrzały się, a skóra cierpła ze zgrozy. Stąpił ostrożnie, żeby chrzęst żwiru nie zagłuszał dźwięków nocy, których nadśluchiwał w napięciu. Ilekroć rozluźniał



szczęki, donośne klekotanie zębów przypominało mu, jak bardzo jest wystraszony.

Chłopak kierował się w stronę środka cmentarza, gdzie od granatowego nieba odcinała się smolisto czarna sylweta kaplicy. Wyciągniętymi przed siebie rękami obmacywał ciemność jak lunatyk. Raz po raz następował na miękkie kępy chwastów i ze wstrętem odskakiwał w bok. Czasami suchy patyk z trzaskiem pękał mu pod nogami. Każdy taki hałas okupiony był łomotem serca.

Kiedy minął ogromny grobowiec z kamiennym aniołem na szczycie, zobaczył przed sobą dwa nikle czerwone światełka.

Znicze – pomyślał. – Cud, że nie zgasły na tym wietrze.

W sąsiedztwie dwóch małych płomyków ciemność jakby zgęstniała. Mimo to Kornel ujął w dłonie szklane znicze, które przyjemnie grzały jego zziębnięte palce.

Poszukał wzrokiem kaplicy, która służyła mu za drogowskaz, i powoli ruszył dalej.

Mijał czarne bryły pomników nagrobnych – spiżowe głowy nieznanymi wąsaczy i figury kobiet oplakujących



zmarłych. Wyobraźnia Kornela sprawiła, że wszyscy oni zdawali się podnosić wzrok i śledzić chłopca.

Idąc, odczytywał napisy na nagrobkach: „Maurycy Chrząstek, ukochany mąż i ojciec”... „Rodzina Parzyszków”... „Tymon Patrzykąt, niech spoczywa w spokoju”... „mgr Kornelia Ząb”...

Nagle z odległego rynku przyfrunął odgłos kuranta na ratuszowej wieży.

Bim-bam, bim-bam... – zegar wybił północ.

Chłopak zadrzał. Zatrzymał się. Dobrą chwilę trwało, zanim zdołał opanować dygot łydek. Z trudem zmusił się do dalszego marszu.

Uszedł ponownie kilka kroków, kiedy silny podmuch wiatru uderzył w szpaler drzew w głębi cmentarza. Narastający, gwałtowny szum liści przetoczył się nad głową chłopca. Kornel wszedł w księżycowy cień rozłożystego dębu. Usłyszał szmer. Spojrzał w górę... i stanął jak wryty. Jeden ze zniczy wypadł mu z dłoni i z hukiem roztrzaskał się o kamienny nagrobek.

Już, już otworzył usta do panicznego krzyku, kiedy usłyszał donośne:

– Czuwaj!

Czuwaj?!... Harcerskie pozdrowienie zbiło go z tropu.

Z grubego konara dębu zwieszały się dwie pary nóg obutych w ciężkie trapery. Nogi należały do dwójki nastolatków – chłopaka i dziewczyny. Różnił ich jedynie kolor

mundurków, bo najwyraźniej byli bliźniaczym rodzeństwem – podobieństwo rzucało się w oczy. W czerwonym blasku znicza lśniły duże zęby obojga, wyszczerzone w szerokich uśmiechach. Te życzliwe miny i harcerskie mundurki sprawiły, że Kornel nie rzucił się do ucieczki, tylko tkwił jak wmurowany na środku alejki.

– Ej, co tu robisz o tej porze?  
– zapytała dziewczyna, bimbając w powietrzu chudymi nogami.

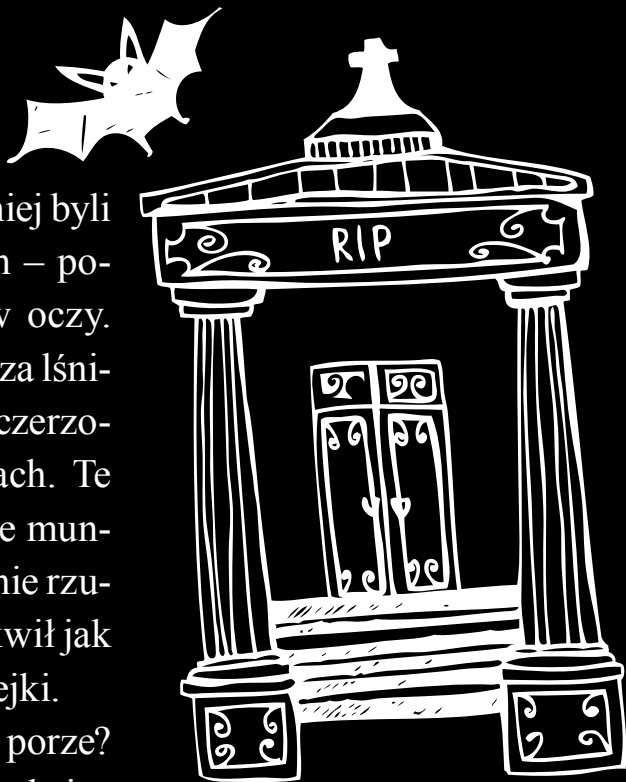
– Szu...szu...szukam tru...  
tru...trumienki – wyjąkał Kornel.

– Trumienki? – roześmiał się harcerz z niedowierzaniem. – To nie powinno być trudne. Czego jak czego, ale trumien tutaj pod dostatkiem.

Kornel zamierzał wyjaśnić, o co chodzi, ale zaciął się na pierwszej sylabie i gdał bezsilnie:

– To...to...to...

Wreszcie, zniechęcony, utknął i zamilkł.



Dziewczyna zgrabnie zeskoczyła z gałęzi i stanęła obok Kornela. Otrzepała mundur.

– Melania – przedstawiła się i wyciągnęła wąską dłoń do uścisku. Dziewczęca ręka była zimna i sucha.

– Ko...Ko...Kornel.

Po chwili dołączył do nich brat bliźniak.

– Melchior – potrząsnął energicznie dłonią chłopca.

Kornela owionął lekki zapach mokrej ziemi i czegoś jeszcze... Stęchlizny?

Harcerz wyjął z kieszeni wymiętą torebkę cukierków i podsunął ją chłopcu.

– Anyżkowe. Lubisz?

Kornel skinął głową i z ulgą sięgnął po dropsa. W miarę, jak lepka słodycz rozplýwała mu się na języku, poczuł, że skurez krtani ustępuje. Napięte mięśnie rozluźniły się.

Dygot łydek minął.

– A wy... co tu robicie? – zapytał. Jąkanie ustało jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Harcerze wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– My? Ekhem... – zawahał się Melchior. – My... zdobywamy sprawność „grabarza”. Mamy za zadanie pozostać tu do świtu. Taki test. Trzeba wykazać się odwagą.





Melania przytaknęła bratu z zagadkowym uśmiechem.

– No to jedziemy na tym samym wózku – ucieszył się Kornel. I opowiedział całą swoją historię. Poczynając od zmiany szkoły, a na Igorze i jego kumplach kończąc.

Bliźniaki słuchały uważnie. Melania przekrzywiła zgrabną głowę i przyglądała się Kornelowi w skupieniu.

– Co za dranie... – szepnęła współczująco, kiedy chłopak umilkł.

– Trumienka... mówisz? W centrum cmentarza, w zrujnowanym grobowcu? – zapytał Melchior.

– Aha...

– To musi być kwatery admirała – rzuciła Melania domyślnie.

– Admirała?

– Tak. Admirał Abel Krawczuk, zmarł w roku 1891. Jego grób w kształcie chińskiej pagody zdewastowali złodzieje. Potem wichura zerwała dach i wszystko – kaput! – popadło w ruinę.

– Założę się, że to tam twoi koleś ukryli pudełko – wszedł siostrze w słowo Melchior. – W sąsiedztwie nie ma innych otwartych grobowców.





Kornel był pod wrażeniem wiedzy bliźniąt. Nie spodziewał się, że tak dobrze znają cmentarz.

– Idziemy z tobą – wesoło oznajmiła Melania. – No, chyba że wolisz sam?

– Żartujesz?! – zaprotestował gwałtownie Kornel. – Zanim was spotkałem, omal nie umarłem za strachu. W pojedynkę mógłbym posłużyć za pokarm dla zombie...

Melchior zaniósł się gwałtownym kaszlem. Jego siostra pochyliła głowę i zaczęła nerwowo rozczesywać grzywkę palcami.

– Pospieszmy się, bo twoi kumple gotowi uwierzyć, że spękałeś – powiedziała.

Bliźniaki ruszyły przodem. Kornel podążył za nimi, szurając kapciami.

Znicz dopalił się, psyknął i zapadła ciemność, rozświetlona tylko zimnym blaskiem księżyca. Mimo to strach ustąpił miejsca uldze, bo przed sobą Kornel widział wąskie plecy Melanii i ciemną głowę jej brata na tle granatowego nieba.





Z wilgotnej ziemi unosiła się mgła – długie pasma zawisły w powietrzu, spowijając nagrobki niebieskawym szalem. Puchacze polowały w mroku. Teraz, kiedy przodem szła para harcerzy, cmentarz wydał się Kornelowi tajemniczy i spokojny.

Kiedy masyw zrujnowanego grobowca wyrósł wprost przed nimi, bliźniaki zatrzymały się. Melchior zapytał:

– Może wolisz, żebyśmy przeszukali go sami? Dla nas to żaden problem, spoko.

Kornel wzdrygnął się na wspomnienie wzdętego, cuchnącego szczura, trzymanego przez Igora za ogon. Skinął głową skwapliwie.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu... to ja chętnie poczekam – odpowiedział.

– Okej. Siadaj tutaj. Zaraz wracamy. – Melania wskazała ławkę pod murem.

Jej brat ponownie wyjął torebkę z cukierkami i poczęstował chłopca. Tym razem drops smakował inaczej, bardziej cierpko.

Miłe ciepło rozpląnęło się po ciele Kornela. Usiadł, podkulił nogi w przemoczonych kapciach i wzrokiem odprowadzał rodzeństwo. Znużona głowa chłopca kiwała się na chudych barkach. Przez chwilę zdało mu się, że

chmura drobnych jak iskra świetlików przyfrunęła zza kaplicy i bez przeszkód przeniknęła na wylot przez szczupłą sylwetkę Melanii.

Mam halucynacje – pomyślał bez lęku.

Zanim bliźniaki doszły do grobowca – powieki Kornela opadły i chłopiec zasnął.

\* \* \*

Tymczasem Igor, Patryk i Zęból nudzili się na jasno oświetlonym parkingu po drugiej stronie muru. Zaraz po rozstaniu z Kornelem obeszli cmentarz i czekali teraz pod bramą. Raz po raz popatrywali w głąb ciemnej alei, czy jąkała nie nadchodzi.

Patryk nakreślił kółko na asfalcie i pluł do niego na odległość.

– Nie ma gnoja. Pierdzi ze strachu. Albo beczy gdzieś w kącie i woła mamusię.

– Łomot go nie ominie. Nie dziś, to jutro dostanie wy-cisk – wtórował mu Zęból, drapiąc czerwone bąble na ramionach od ukąszeń komarów.

– Macie zośkę? – zapytał Igor. – Zagramy.

Patryk wyjął z kieszeni żółtą, włóczkową kulkę. Kopnął ją wysoko, niemal pod klosz jarzeniowej latarni. Zośka opadła wprost na podstawiony trampek Igora i, wybita silnym uderzeniem, poszybowała ponownie w górę. Grali zrećznie,



choć dało się zauważyć, że Patryk i Zębol usłużnie posyłają Igorowi łatwe piłki.

Dawno minęła północ. Całe miasto spało. Na odludnym parkingu nie pojawiły się nawet bezpańskie koty. Chłopcy grali w milczeniu, przeklinając cicho przy każdym nieudanym podaniu.

Po kolejnej ewolucji Igor poślizgnął się na asfalcie i zośka, zamiast pionowo w górę, pofrunęła między szczelbami rudej od rdzy bramy cementarnej. Włóczkowy kłębek upadł między nagrobkami, w kręgu jaskrawego światła padającego od lampy ulicznej.

– Uuuups! – Igor skierował się ku bramie i nacisnął klamkę. Wrota ustąpiły z metalicznym jękiem. Igor zrobił zaledwie trzy kroki i już, już sięgał po piłkę, kiedy jarzeniówka nad parkingiem pękła z hukiem. Zaraz potem, kolejno, jak klocki domina, zgasły wszystkie latarnie wokół. Zapadła ciemność.

W pierwszej chwili chłopcy nie widzieli nic. Patryk zaklął i po omacku skierował się w stronę Igora. Zygmunt podążył za nim. Kiedy byli o krok od bramy, usłyszeli charakterystyczny zgrzyt nieoliwionego metalu – jakby ktoś przekręcał klucz w zardzewiałym zamku.

– Jaja sobie robisz? – zapytał Patryk, sądząc, że to Igor majstruje przy bramie.